Deszcz — Algun Vedono

Dawno nie byłem na takiej imprezie. Atmosfera przesiąknięta czymś nieuchronnym, ale nikomu nieznanym. Niby wszystko dobrze: muzyka, alkohol, papierosy i zadymione spojrzenia. Nie wszyscy się znali i nie każdy był na swoim miejscu. To nie było rażące tylko oczywiste. Niektóre osoby sprawiały wrażenie kolorowych fotografii, wydartych z jakiegoś pisma z wyższej półki i wklejonych w codzienną gazetę. To był dziwny widok, ale zupełnie mi obojętny, dlatego nie poświęciłem mu większej uwagi. Tym bardziej, że właśnie przyszedł On – opus magnum dziewczęcych oczekiwań. Wysoki, przystojny brunet, ubrany zupełnie nieodpowiednio, jeśli chodzi o klimat imprezy. Należał do takich osób, które samym swoim przybyciem zmieniają wszystko, co można zawrzeć w określeniu „klimat". Zupełnie nieoczekiwanie z głośników popłynęły łagodne dźwięki Dire Straits, zastępując tym samym brudne i jazgotliwe granie zespołu Rozza Williamsa. Yhmm...zaczęło się – pomyślałem.
„So far away..." śpiewał Knopfler, a ja zastanawiałem się jak bardzo „far" jestem od tego nowego gościa. Przez pierwsze pół godziny nie zamieniłem z nim ani jednego słowa, nawet grzecznościowe „cześć" nie padło między nami. Dopiero po pewnym czasie podszedł do mnie i przedstawił się:
- Hej – powiedział.
- Hej – odparłem leniwie. Miałem nadzieję, że mój wyraz twarzy i ton szybko zniechęcą go do kontynuowania lichych kurtuazji.
- Czym się zajmujesz? – zagaił po chwili.
- Studiuję. Piję. Czytam. Czasem porucham. – odpowiedziałem.
- To imponujące.
- Nie, to smutne.
- Przynieść ci browar albo drinka? – zapytał grzecznie.
- Nie, dzięki – wymamrotałem pod nosem. Kilka sekund później poszedł gdzieś do pokoju lub do kuchni. Nie pamiętam, bo nie zwróciłem na to uwagi. Zresztą już później go nie widziałem.
Dochodziła dwudziesta trzecia, godzina-granica, czas między beztroskim „jeszcze wcześnie" a zawiedzionym „trochę późno się robi". Siedziałem w fotelu i obserwowałem moich znajomych oraz tych, których widziałem po raz pierwszy. No i ją. Tą, która nie była specjalnie urodziwa, ale jako całość nie pozostawiała śladu złudzenia ani nawet chwili na zastanowienie. Oglądała płyty. Przeglądała książki. Oczywiście wszystko niezmiernie dyskretnie, tak żeby nikt nie zwrócił uwagi, na jej rozpaczliwe próby poszukiwania czegokolwiek, co mogłoby ją tutaj zainteresować i na dłużej zatrzymać. Wiedziała, że tu jestem i że na nią patrzę. Znaliśmy się już parę lat, ale jakoś tak frywolnie. Ta znajomość była rozchełstana jak łóżko w sobotni poranek. Żadnych oczekiwań, zero pośpiechu ani tym bardziej zobowiązań.
- No i jak ci się podoba? – zapytała
- Średnio – odparłem.
- Średnio? – zapytała.
- No tak. A co mam powiedzieć? Że bieda, dno, chujowizna?
- No nie wiem, nie wiem... Zresztą myślałam, że to ty się pierwszy
odezwiesz.
- Ja sobie tylko siedzę. Piję i patrzę.
Durna to była odpowiedź. Wydawało mi się przez chwile, że rozmowy ucichły a
adapter stęknął litościwie. Jakby pytał:, „co ty najlepszego wygadujesz?". Oczywiście rozmowy nie ucichły, a adapter nie miał mi nic do powiedzenia. Zupełnie tak jak ja jej. Trochę dziwna sytuacja. Czułem, że na coś czeka, ale co mogłem jej zaproponować? Nie tańczę, bo nie lubię. Ma piwo. Nawet wszystkie miski i spodeczki z tymi cholernymi przekąskami, orzeszkami i pozostałym tałatajstwem są w zasięgu jej ręki.

- To może pójdziemy na górę...do pokoju. Nikogo tam nie ma – powiedziała cicho ale wyraźnie i nieśpiesznie.

Parę chwil później byłem już na zewnątrz. Z mieszkania na trzecim piętrze dobiegały mnie dźwięki muzyki, wzajemne przekrzykiwania się ludzi i świadomość podjęcia jednej z najbardziej idiotycznych decyzji w moim życiu. Powiedziałem kilka zdań w rodzaju „muszę już lecieć" albo „źle się czuję". Kulturalnie się pożegnałem i wyszedłem. Już jak zakładałem płaszcz wiedziałem, że popełniam błąd. Ale nie mogłem się odwrócić i z głupim uśmiechem powiedzieć: „Przeszło mi. To gdzie jest ten pokój?". Było za późno.
Po kilku minutach odrętwienia ruszyłem przed siebie. Szczęśliwie znalazłem w kieszeni płaszcza chłodną puszkę piwa. Jak ona się tam znalazła? Zupełnie jakby przeczuwała, że będzie mi potrzebna. Z udawaną niedbałością wyciągnąłem ją z kieszeni i otworzyłem. Dobre piwo nie jest złe pomyślałem. Szedłem i miałem dziwne przeczucie, że to jeszcze nie to. Że coś musi się jeszcze zadziać. Sytuacja jeszcze nie przybiła ostatniego gwoździa do trumny zdarzeń. No i stało się.
Niebo zaczęło się chmurzyć. Wszystko zamarło w bezwietrznej, stabilnej harmonii. Zatrzymałem się na chwilę i zastanawiałem czy mam na tyle odwagi żeby przerwać tą patową sytuację. To chyba kara za moją głupotę. Byłem w zawieszeniu. Znieruchomiały i oczekujący na wyrok. Jedna, druga, trzecia...krople zaczęły dziurawić napęczniałą powłokę przestrzeni. Od razu poczułem się lepiej, jako ten, który przetrwał i był teraz wolny. No i miałem piwo. Pomimo ulewy uznałem, że jedynym godnym sposobem dotarcia do domu będzie spacer. Nie wiem skąd ten pomysł, tym bardziej, że mieszkałem w dość znacznej odległości.
Po godzinie solidnego marszu w ulewie, cały zziębnięty i przemoczony dotarłem na miejsce. Dochodziła pierwsza. Zdjąłem mokre ubrania, wziąłem ciepły prysznic i położyłem się spać.
Nazajutrz deszcz nie ustawał. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaciętego. Spałem dobrze, ale poranki nie należą do moich ulubionych chwil. Tym bardziej, jeśli słyszę szyderczy śmiech wczorajszego dnia. Być może straciłem okazję swego życia, okazję na spędzenie swych dni z wyjątkową kobietą, która urodziłaby nam dzieci, pracowała, zajmowała się domem i dzieliła ze mną zainteresowania. Ale już za późno. Poza tym za wiele tego wszystkiego, za dużo martwych punktów i niepewności. Nie można przebierać w czymś, co wewnątrz jest puste.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Algun Vedono, dodano 13.12.2010 09:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.